

Mirko z Zarzecznej cz. 1. Bierz parasol, gdy jaskółki nisko latają, bo inaczej cię os...! —
Ten_Smiertelny

Od autora: Dajcie szansę nowej przygodowej serii. Zapomnijcie o logice, porzućcie sceptycyzm i pozwólcie ponieść was wyobraźni. Opowieść nie jest ani nachalna, ani zbyt oczywista.

TEN ŚMIERTELNY

Mirko z Zarzecznej cz. 1.

Bierz parasol, gdy jaskółki nisko latają, bo inaczej cię os...!

Pora śniadaniowa. Trzymając w jednej ręce widelec, a w drugiej nóż, siedzi przy stole rosły, dwudziesto-pięcioletni chłop Mirko:

– Siostrze, długo jeszcze? Umieram z głodu! – gdy mówi jego głos jest bardzo tubalny.

– Tak, tak... – odpowiada zgrabna, dwudziestoletnia Agnieszka z czarującym uśmiechem. – Już podaję.

Podchodzi do stołu z talerzem przykrytym nakryciem. Mirko koncentruje wzrok.

– Ta-da! – Agnieszka odsłania danie. Na talerzu widnieje obgryziony do cna ogryzek po jabłku i odrobina siana.

Mirko nie daje nic po sobie poznać, minę dalej ma zupełnie poważną. Wskazuje na ogryzek:

– Hej, hej... Czy to nie jest, czasem już napoczęte? Podjadałaś siostrze? to grozi nadwagą...

Siostra nie odpowiada i dalej uśmiecha się czarująco. Mirko wkłada sobie do buzi siano i mówi:

– To o wiele za mało... Chyba będę musiał wyhodować sobie cztery żołądki – mruży pod nosem. – Fee! Prawie nie zjadliwe. – Żuje jak krowa. – Wiedziałem, że jesteś słabą kucharką, ale bez przesady...

Siostra nie odpowiada i dalej uśmiecha się czarująco.

– Może powinnaś pójść na jakiś kurs gotowania, to by dobrze ci zrobiło... – bawi się ogryzkiem. – Wierz mi, wiem co mówię, brak profesjonalizmu w kuchni jest równie niebezpieczny jak w medycynie. Szarlataneria to zmora naszych czasów...

– O co chodzi? dlaczego nie jesz? Myślałam, że jesteś głodny bracie – uśmiecha się pięknie. – Spróbowałaś jedynie sałatki, czas na główne danie – mówi nie zmieniając wyrazu twarzy.

Mirko krztusi się trawą i patrzy na ogryzek:

– Pff... – uśmiecha się z przymusem. – Wiesz dobrze, że nie jestem wybredny, ale...

– Zjadaj zaraz ten ogryzek! – krzyczy Agnieszka i brutalnie wpycha mu go do buzi.

– Tfu! – Mirko zlatuje z krzesła i pluje. – Zwariowałaś, szalona kobieto? chciałaś mnie zabić?

– To chyba ty zwariowałaś bracie! – złości się Agnieszka. – Co miały znaczyć słowa, że ZNÓW wyleciałeś z pracy?

Retrospekcja. Przed hotelem parkuje luksusowa limuzyna. Mirko ubrany w strój hotelowego, otwiera drzwi i kłania się. Mały staruszek w specjalnie skrojonym dla niego garniturze, wysiada przy jego pomocy:

– He? – dziwi się przyglądając się Mirkowi. – Wyglądasz jak neandertalczyk w przebraniu. Musisz należeć do tutejszej ludności i jak? Prawdę mówię? Jesteś z tubylców?

– Tak, panie – Mirko skłonił się z unizieniem.

– Wiedziałem! Co za brak profesjonalizmu! i to ma być najlepszy hotel w tej budzie!? Powinni sprowadzić wykwalifikowany personel, zamiast zatrudniać pierwszego-lepszego, wiejskiego głupka. Powiedz no ty: przeszedłeś chociaż jakieś szkolenie?

– Nie, ale mama przed śmiercią nauczyła mnie liter alfabetu i mnożyć do stu. – Zajął się wypakowywaniem licznego bagażu.

– Piąta litera alfabetu?

– Eeee... – zawahał się Mirko, zaskoczony nagłym egzaminem.

– Nie „e” tylko „ć”, durniu! – kłuje go w bok ostrą swą laską. – Nie uwzględniłeś polskich liter!

– Najmocniej pana przepraszam... – skłania znów pokornie głowę.

– Siedem razy osiem?

– Pięćdziesiąt dwa.

– Pięćdziesiąt sześć, matole! – ukuł go ponownie i zdzielił laską po głowie.

– Przepraszam, pomyliłem się. – W głowie Mirka wszystko wirowało. – *Co to za dziwny staruszek?... Może po wyjściu z klimatyzowanego auta na zewnątrz, klepki mu się poprzestawiały. Lepiej będzie zachowywać się wyjątkowo ostrożnie...*

– Rany, co za wiocha! – zachnął się nowo przybyły. – Że też musiałem przyjechać na takie zadupie. Wołałbym umrzeć, niż się tutaj urodzić.

Bagaż wyleciały z rąk hotelowego.

– Co robisz idioto!?!... – zaczął, lecz nim skończył, wielka pieść Mirka zwała go z nóg. Koniec retrospekcji.

– No... tt... trro... trochę nerwy mnie poniosły... – odpowiedział drżącym głosem siostrze.

– Nerwy cię poniosły? – spytała strasznie Agnieszka, patrząc na siedzącego na podłodze brata i ściskając w rękach miotłę. – Więc teraz mnie nerwy ponoszą! – zaczęła okładać go bez litości.

– A!... a!... boli!... Przestań!... A!... boli!... boli!... Litości!... – Mirko zasłaniał się rękami od uderzeń.

Agnieszka zaczęła płakać:

– Przecież wiesz, że nie mamy pieniędzy. W domu nie ma już nic do jedzenia! Jeśli tak dalej pójdzie umrzemy z głodu!

– A nie możesz barć większych napiwków, od tych drani, których obsługujesz?

Agnieszka pracowała jako barmanka, jej oczy momentalnie obeschły; wściekła się. Chwyliła go za oszewę i wyrzuciła za drzwi. Znikła za chwilę w domu, a potem rzuciła w niego kijem pasterskim:

– Skoro nie potrafisz pracować jak uczciwi ludzie, to leć szukać artefaktów! Może zjedzą cię mutanty i będę miała wreszcie spokój! – Trach! – trzasnęła drzwiami.

Mirko podniósł się i otrzepał ubranie z prochu. Ścisnął mocno kij w dłoni. Mając go czuł się gotowy na wszystko.

– *Cześć jestem Mirko! Skoro nie ma tutaj nikogo innego, komu mógłbym się wyżalić, przed wami wyłożę swą skargę.*

Jak widzieliście, mieszkam skromnie wraz z siostrą, która mnie bije. Jako ofiara przemocy domowej, mam prawo czuć lekkie rozgoryczenie, a jednak łaskawie wybaczam jej to. Niczym dzieci pijaków, które same przynoszą pas i nadstawiają tyłek, przyjmuję wszystko z pokorą.

Siostra nie zawsze taka była. Kiedyś na jej twarzy widniał ciągle szczery uśmiech, a o pieniądzach nikt nigdy nie wspominał. Siostra się zmieniła, Zarzeczne się zmieniło; wszystko jest inaczej.

Jeszcze niedawno posiadaliśmy liczne stada krów, które wypasaliśmy na zielonych łąkach, nieskończonych pastwiskach Zarzecznej. Było cicho i bardzo przyjemnie.

Retrospekcja. Słońce raźnie świeci, po błękitnym niebie przelatują ptaki, radośnie świergocząc. Mirko leży na łące, ręce ma schowane pod głową; uśmiecha się. Zamyka oczy. Słyszy jak świerszcze wygrywają swój koncert. Czuje orzeźwiający zapach świeżej trawy. Promienie słoneczne ogrzewają jego twarz.

Podnosi się w pół i z górki, na której jest, patrzy w dół. Wokoło, jak okiem sięgnąć, na górach i w dolinach pasie się bydło. Krowy chodzą ze swymi cielętami. Młode byczki i kozły radośnie kicają po górach. – Muuu! Muuu! – nagle słyszy ten dźwięk, którego nauczył się już ignorować.

Chętnie wracam myślami do tych czasów, kiedy jedyne co musiałem robić, to leżeć sobie spokojnie na łące i pilnować stad. Tłumaczyłem to wszystkim już wielokrotnie: nie lubię się śpieszyć, męczyć pracą rąk, słuchać rozkazów przełożonych. Wolę spać na słoneczku, w otoczeniu natury – jestem urodzonym pasterzem.

Widok zwierząt napelnia mnie radością, oglądanie jak na świat przychodzi nowe życie nieograniczonym szczęściem. Pagórki porośnięte trawą radują moje serce, a oglądanie jak chmury podróżują po niebie sprawia, że czuję spokój ducha.

„Dlaczego muszę się tak męczyć? Czemu nie mogę w spokoju wypasać bydła jak dawniej?” – to pytania, które ciągle kołaczą się w mojej głowie. Ale nie będę się skarżył! Gdy człowiek się napije i jest zadowolony, nie może później narzekać, że go głowa boli. Bóg dał, Bóg wziął – nie ma w nim żadnej nieprawości.

Wszystko zaczęło się, gdy na niebie pojawiły się statki kosmiczne i zaczęły porywać nasze bydło...

Retrospekcja. Mirko stoi z laską pasterską w ręku i mówi:

- Nie obchodzi mnie, czy jesteście z tego, czy nie z tego, świata... – jego wzrok jest absolutnie nieugięty.
- Nie wybaczę nikomu, kto kradnie moje krowy!

Incydent ten rozpoczął wielką wojnę pasterzy z kosmitami.

Ilustracja. Różni rośli i umięśnieni, pasterze, kijami walą po głowach szarych i chuderlawych kosmitów z dużymi oczami.

Chociaż wojna została wygrana, nie cieszyliśmy się zbyt długo zwycięstwem. Po wszystkim na naszej ziemi pojawiło się wiele artefaktów; cudownych kamieni wyróżniających się wyglądem, a czasem posiadających też specyficzne właściwości i nadnaturalne moce. Do tego promieniowanie kosmityczne sprawiło, że wiele zwierząt zamieniło się w potworne i niebezpieczne bestie-mutanty.

Lecz najgorsze miało zaś dopiero nadejść...

Gdy świat dowiedział się o tym co się stało, wprost oszalał na naszym punkcie. Zewsząd zaczęli nadjeżdżać ludzie. Naukowcy, turyści, ciekawscy... Bogacze byli wstanie za co rzadsze artefakty, płacić do słownie miliony, dlatego z całego świata przybyli do nas awanturnicy, zwiedzeni wizją łatwego zarobku.

Wielu z nich nie było wstanie poradzić sobie w górach, a gdy nie mogli znaleźć artefaktów, porywali bydło. Za tymi zaś, którzy osiągnęli sukces, przybyły jak pijawki, tabuny innych, którzy chcieli wzbogacić się na ich szczęściu. Powstały salony gry, burdele i pijalnie. Pojawiło się tysiące pośredników, ludzi oferujących sprzęt, czy mapy mające ułatwić zdobycie artefaktów.

Oszuści, naciągacze i zwykli złodzieje, przybyli do nas chyba z całego globu! Pola napelniły się ludźmi; prymitywne na szybko sklecone domki nie były wstanie pomieścić nawet połowy. Ceny wzrosły do tego stopnia, że miejscowa ludność, pozbawiona już w większości bydła i zwierząt hodowlanych, zaczęła przymierać głodem.

Skromna „rekompensata” w formie comiesięcznej zapomogi, jaką przydzieliło nam państwo, nie była wstanie pokryć kosztów czystej wody, za którą od teraz musieliśmy płacić... By nie zdechnąć z głodu musieliśmy pójść do „pracy”.

Siostra, odznacza się niezwykle urodą, dlatego mogła zacząć pracować jako barmanka. Wiem jednak, że choć pracuje w najuczciwszym i najbardziej cywilizowanym z lokali w naszej wiosce, to i tak codziennie musi znosić „przypadkowe” obmacywanie i obłapianie ze strony pijanej klienteli – a i tak ledwo starcza nam na chleb.

Siostra stara się z całych sił, a ja wciąż ją zawodzę. Zdaję sobie sprawę, że jestem śmieciem. Jestem jak zużyta balonowa guma, którą ktoś przykleił pod biurko w szkole – do niczego nieużyteczny.

Mirko ścisnął mocniej laskę i szedł dalej.

Jestem za stary i zbyt wielki bym płakał jak dziecko, kiedy więc łapie mnie chandra idę nad źródelko/wodospad. To jeden z najwyższych położonych punktów w okolicy; kiedyś można było stamtąd zobaczyć jak niemal aż po horyzont, ciągnie się strumień, przy którym poją się stada różnych z nas.

Woda wystrzeliwuje ze skały – czyż to nie piękna rzecz?

Zatrzymał się. Na krawędzi przepaści, stał człowiek w sile wieku i wyglądało na to, że zamierza skoczyć.

– Nie rób tego – złapał go za rękę. – Ludzie nie potrafią latać.

Mężczyzna jest zaskoczony. – Ach, Mirko! Jesteś jednym z tych którzy tu się urodzili, więc pewnie będziesz w stanie mnie zrozumieć...

Jakaś zmutowana krowa warczy na całą okolicę. Ktoś biegnie ukradkiem przez miasto. W barze słychać donośne, prostackie, śmiechy. Mirko i Rysiek siedzą na krawędzi klifu. Rysiek opowiada:

– Wiesz Mirko... Od dziecka byłem raczej zamkniętym w sobie człowiekiem. Przyszedłem na świat w wielkiej metropolii, w miejscu wypełnionym istotami ludzkimi, a mimo to, nigdy nie przyzwyczailem się do ludzi. Zawsze było coś takiego w wielkim tłumie, że czułem się pośród niego zadziwiająco samotny, zagubiony i opuszczony...

Retrospekcja. Wielki tłum, ludzie przechodzący przez ulicę, samochody; tysiące, miliony...

Próbowałem to zmienić, otworzyć się na ludzi; wciągnąć w to życie, którego nie cierpiałem i nie potrafiłem zrozumieć. Coś jednak sprawiało, że zawsze czułem się jakbym pasował jak wół do karety. Nie potrafiłem się wpasować.

Nie lubiłem oglądać telewizji, ani nawet nie chciało mi się przeglądać Internetu. Nie potrafiłem dostrzymać kroku trendom; nadążyć za tym co popularne. Nie znałem marek samochodów, ubrań, ani rzeczy; nie mogłem zrozumieć co ludzie w tym widzą.

Ciągle czułem się jakbym musiał biec i biec, bez końca! Tyle, że ja wcale nie chciałem tak pędzić.

Kochałem naturę. Ty Mirko, jesteś w stanie mnie zrozumieć, bo też to czujesz. Przyroda jest niesamowita! Zwierzęta cudowne, kochane, pocieszne i miłe. Żadna praca przy nich, nie jest nieprzyjemna.

Zamknięty w betonowym bloku jak w klatce, cierpiałem i z całego serca pragnąłem wyzwolenia. Harowałem więc jak wół, dniami i nocami, by wydostać się na wolność.

W końcu mi się udało, znalazłem urocze miejsce, pełne drzew, śpiewu ptaków i spokoju. Osiadłem w malowniczej wiosce na krańcu świata. Moimi sąsiadami byli podobni jak ja wariaci i autsajderzy, którzy chcieli oddzielić się od społeczeństwa. Przeżyłem tam pięknych siedem lat.

Retrospekcja. Zwykła zabita dechami wiocha. Rysiek chodzi w gumowcach po błotnistej, gruntowej drodze i przegania gęsi na pastwisko. Zaciąga się z zadowoleniem świeżym powietrzem i upaja ciszą. Rozkłada ręce, jakby chciał objąć świat. Czuje, że jest u siebie.

Niestety nie tylko ja zauważyłem, to piękno; ktoś przedsiębiorczy pomyślał, że można zrobić na tym interes... To nie takie proste, ale on widać miał środki by wprowadzić plan w życie.

Wioskę rozpropagowano jako dziewicze miejsce. „Natura, zdrowe powietrze, cisza i spokój” – i tym podobne zalety. Chwyciło. Turyści napłynęli do wioski.

Ponieważ jednak rzeczywiście było to dziewicze miejsce, było bardzo nieprzyjemne dla tych którzy przyzwyczaili się do wygod miasta. Zaczęto więc dostosowywać wioskę do wygody mieszkańców...

Wycinając przy okazji wiele drzew i burząc stare domy, pobudowano asfaltową drogę, doprowadzono gaz i Internet. Wyczyszczono okolicę z krzaków, uprzątnięto cały teren. Powstały chodniki, deptaki i przeróżne obiekty rekreacyjne.

Retrospekcja. Wielki kurort turystyczny nijak nieprzypominający, początkową miejscowość. Roześmiani turyści wracający z kręgielni i smutne twarze dotychczasowych mieszkańców. Gęsi zamknięte w ciasnej zagrodzie.

Widzisz Mirko, zanudzam cię, bo to pewnie bardzo typowa historia. Gdy się stamtąd wyprowadzałem, wioska dalej reklamowana była jako dziewicza, lecz opuściła ją już większość dawnych mieszkańców.

Gdy straciłem dom, tułałem się po świecie w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłbym założyć swoje gniazdo. Gdy już traciłem nadzieję, znalazłem Zarzeczną.

Myślę, że nie obrazisz się, jeśli powiem, że chyba na całym świecie nie było podobnej wiochy. Nie było prądu, kanalizacji... właściwie niczego! W gruncie rzeczy nie jestem pewny, czy Zarzeczna była nawet na mapach...

Głusza, nora, dzicz jakich mało. A jednocześnie nigdzie chyba nie doświadczyłem tyle ludzkiego ciepła i gościnności. Co znamienne, tutaj nie mieszkali odmieńcy, którzy przyjechali, by uciec od świata. To było miejsce w którym ludzie żyli z dziada pradziada, rodzili się tutaj, wychodzili za mąż i umierali jak ich pradziadkowie. Widząc to pomyślałem nawet, że chyba niewiele się tutaj od tamtego czasu zmieniło.

Mirko patrzył poważnie.

A później jak wiesz, pojawili się kosmici. Wiesz, że gorliwie brałem udział w wojnie; przeżyłem tutaj większość swojego życia, każdy dzień tutaj liczył się dwukrotnie. To był mój dom i jak każdy mieszkaniec byłem gotów go bronić.

Ale mam już dosyć. To co stało się później... To jak wygląda teraz Zarzeczna... To już nie jest mój dom.

Postanowiłem się wyprowadzić i znów poszukać przystani. Myślałem, nawet, że dopisało mi szczęście. Znalazłem „jaskółkę”, bardzo piękny artefakt, nieposiadający żadnych specjalnych właściwości, lecz na tyle rzadki, że dzięki niemu, mógłbym spróbować znów zacząć wszystko od nowa. Jednak wszystko na nic...

Wczoraj odebrali mi go Kolekcjonerzy...

Wśród poszukiwaczy artefaktów powstały różne subkultury, różniące się podejściem i ideologią, która nimi kierowała. Jednym zależało jedynie na szybkim zarobku, inni pragnęli niezwykłych mocy kryształów i tak dalej.

Część z powstałych grup, była cokolwiek ekscentryczna. Niektórzy mieszkali w jaskiniach, albo żywili się tylko mięsem zmutowanych zwierząt, co jakoby, miało dać im niezwykłą siłę. Asceci, Wolnomściciele, Ludożercy, Kolekcjonerzy, Łowcy Głów... – część z nazw, grupy nadały sobie same, a niektóre przylgnęły do nich z zewnątrz.

Rysiek został ograbiony przez „Kolekcjonerów”. Była to grupa, która jak sama nazwa wskazuje, zajmowała się głównie kolekcjonowaniem artefaktów.

Ich przywódca powiedział mi, że nie zasługuję na „Jaskółkę”, bo chciałem ją sprzedać. Gdy dziś z rana wstałem, napęłniły mnie czarne myśli. Straciłem wszystko. Nie miałem już sił dalej walczyć. Postanowiłem się zabić.

Nie wiem czy rzeczywiście bym to zrobił gdybyś mnie nie powstrzymał. Jestem tchórzem, więc pewnie nie.

Dziękuję Mirko, za to, że mnie wysłuchałeś... Kochany z ciebie chłop. Powiedz mi: Czy... czy... czy mnie rozumiesz? – ostatnie słowa Rysiek powiedział przez łzy i zaczął szlochać.

Mirek wysłuchał całej opowieści z wielką powagą. Widząc, że skończył, poczekał aż trochę się wypłacze, a potem z całą stanowczością powiedział:

– Nienawidzę ptaków. – Jego wzrok był nieugięty i twardy. – Kradną błyskotki, a gdy ich maleństwa trochę podrosną, wypychają je z gniazda i nie patrzą, że młode mogą roztrzaskać się o ziemię.

Bydło jest o wiele lepsze. Krowy nawet długo po tym jak przestaną już karmić swoje cielęta, dalej chodzą razem z nimi i biorą je w obronę.

Lecz nawet wśród ptaków istnieje zróżnicowanie. Jedne odlatują na zimę do ciepłych krajów, a drugie marzną na miejscu; nawet jeśli nie uda im się przetrwać, jeśli ktoś nie zawiesi kawałka słoniny na drzewie.

Gdy byłem młody, wielu z moich rówieśników uciekło z Zarzecznej. Twierdzili, że nie ma perspektyw;

że życie tutaj, to marnowanie życia... Nie posłuchałem ich, zostałem i dalej zostanę. Na dobre i na złe; będę tutaj, gdzie mój dom. – Mirko jest naprawdę poważny.

Ktoś krzyczy ze szczęścia, ktoś płacze z rozpaczy. Krzyki słyhać w gospodzie. Grono towarzyszy klóci się o podział łupu. Słońce przemieszcza się na niebie.

Późne popołudnie. Rysiek jedzie starym gratem, polną drogą i wesoło podśpiewuje. – Hahaha! Zabrali mi jaskółkę, ale trafiłem na „Menano”! Wreszcie się stąd wydostanę!

Nie ujechał jednak długo, a drogę zaszło mu dwóch uzbrojonych Kolekcjonerów. Wszystko w nich było kwintesencją stylowości. Bywa, że zwiemy kogoś stylowym, bo jest nieźle ubrany, są jednak ludzie, którzy nawet nago, znaleźliby sposób by wyglądać stylowo i wyrefinowanie.

Gracja ruchów, jakby wyszukana teatralność i elegancja kroku – to wszystko było od nich już z daleka. Zdawało się, że nawet porywając zakładników, wyglądaliby jakby odstawiali sztukę i kłaniali się publiczności.

Ich przywódca Orlando, był ekscentrycznym milionerem, o którym mówili jego zwolennicy, że gdyby chciał miałby cały świat, jednak nie cały świat go zadowalał. Wszystko w jego stroju i ruchach było sceniczne, aż do przesady.

– Przestańcie! Litości! Złodzieje! – krzyczał też jakby teatralnie Rysiek.

– Klik! – jednym zgrabnym ruchem Orlando odbezpieczył rewolwer i przystawił go mu do głowy. – Jeśli będziesz się stawiał: wystrzelę.

Tłumaczyłem to już ostatnio. Nie jesteśmy złodziejami, komunistami też nie. Szanujemy święte prawo własności. Każdy człowiek ma prawo posiadać; złodzieje, którzy łamią to prawo, zasługują zaś jedynie na śmierć! – Splunął z obrzydzeniem.

– Dlaczego zatem?...

– Dlaczego zabieramy ci „twój” artefakt? Czy o to chciałeś spytać? Zapytaj sam siebie! – Orlando zniżył głos. – Albo powiem ci... choć i tak nigdy tego nie zrozumiesz.

Posiadałeś prawo do posiadania wszystkiego co znalazłeś. Jak drogie i wspaniałe by to nie było, było rzeczywiście twoje i nikt nie miał prawa ci tego zabrać.

Jednak ty nie doceniłeś skarbu, który tylko przypadkowo dostał się w twoje ręce; nie miał dla ciebie żadnej wartości. Chciałeś go tylko sprzedać i na nim zarobić!

Dlatego utraciłeś prawo posiadania. Śmieć, który nie potrafi docenić prawdziwego skarbu, nie ma prawa go posiadać. Dlatego też weźmiemy, ten już wcale nie „twój”, artefakt; my potrafimy należycie go docenić.

Uważajcie „Menano” jest delikatne i wrażliwe na światło słoneczne! – Ostatnie zdanie skierował do współników, którzy zabrali się do dzieła.

Otworzyli tylne drzwi. Na siedzeniu umieszczony był duży, wielkości kucającego człowieka, worek. Kolekcjonerzy wzięli go bardzo delikatnie.

– Zobaczymy go w ciemni.

Odjechali.

Ciemnia, w jakiej zwykle wywołuje się zdjęcia. Czerwone światło. Kolekcjonerzy, nadzorowani przez Orlanda wnoszą worek do środka.

– A teraz przyjrzyjmy się mu! – mówi Orlando i rozwiązuje.

Mirko wyskakuje ze środka. – A kuku! Nie było miejsca bym wziął ze sobą kij pasterski, dlatego musi wystarczyć ta różga.

– To nie „Menano”!

– Oto artefakt zwany życiem: Doceńcie go! – Tłucze ich różgą, gdzie popadnie. – Doceńcie ten artefakt!

– Ty draniu!... – mówi jeden z Kolekcjonerów i rozmasowuje obolałą głowę. Wyciąga rewolwer, jednak Orlando wybija mu go z ręki. – A co jeśli rykoszet uszkodzi jakiś artefakt! Żadnej broni! – rozkazuje.

Mirko ucieka korytarzem; powala tych, którzy chcą go zatrzymać, na lewo i prawo.

– Zmierza do głównego składu!

Przed Mirkiem pojawiają się póki wypełnione setkami różnych, pięknych artefaktów. Przebiega szybko wzrokiem po wszystkich. Porywa „jaskółkę” i chowa za pazuchę.

Pojawia się więcej kolekcjonerów. Mirko wycina ich różgą jak mieczem. Biegnie w stronę okna i kopniakiem wydostaje się na zewnątrz.

Spada z drugiego piętra na ugięte kolana i nawet nie otrzepując się ze szkła, biegnie dalej. Mija chwila nim kolekcjonerzy zbiegłszy po schodach, podążają za nim.

Orlando martwi się o kolekcję. – Czy coś zginęło?

– Na szczęście niewiele. Brakuje tylko „jaskółki”.

– Heh! – zaśmiał się Orlando. – Widać nie potrafił należycie ocenić kryształów. Mamy tutaj okazy warte miliony, a on porwał tylko marną „jaskółkę”!

Tymczasem Mirko gubi pościg. Ukrywa się między domkami, a później idzie na umówione spotkanie z Rysiem.

– Udało się.

– Mirko, nie wiem, co powiedzieć... – głos mu się załamuje. – Krwawisz...

– Nie bardzo. – Mirko potraktował ostatnie słowa, jako pytanie. Rzeczywiście właściwie nic mu się nie stało, choć miał kilka zadrapań. Podaje kamień Ryśkowi.

– Dziękuję, jak mógłbym ci się odwdzińczyć?

Mirko uśmiecha się. – Zima zawsze kiedyś się kończy. Obiecuj mi jedno: Gdy tam gdzie pojedziesz, zrobi ci się za gorąco, wróć tutaj.

Tu zawsze będzie twój dom.

Słońce chyli się ku zachodowi. Mirko siedzi przy stole, w jednej ręce trzyma widelec, a w drugiej nóż.

– Siostró, długo jeszcze? Umieram z głodu!

Agnieszka uśmiecha się czarująco. – Już podaję. Ta-da!

Mirko widzi na talerzu ogryzek, nie zmienia miny, ani nie pokazuje po sobie zawodu.

– Znów to samo, co na śniadanie? Siostrze, błąd zróżnicowanej diety, to główna przyczyna otyłości, chorób wewnętrznych i złego samopoczucia... Tylko odpowiednio zbilansowana dieta zapewni nam zdrowie i wigor potrzebny do pracy...

– O czym ty mówisz kochany Mirko? Przyjrzyj się dobrze.

Mirko przygląda się ogryzkowi, jednak nie jest w stanie powiedzieć, o co chodzi.

– To ogryzek po gruszce – wyjaśnia z uśmiechem Agnieszka. – Z rana, był po jabłku.

– Tf... Ach... – Mirko zacina się, pot występuje na jego skroń.

Dom rodzeństwa był zbudowaną przez ich przodków, chatą starego stylu. Główny materiał stanowiły, niewypalane gliniane cegły pomieszane ze słomą, dlatego posiadał on doskonałą izolację termiczną. W cudowny sposób, dzięki mądrości pradziadów, w lecie było w nim chłodno, a w zimie ciepło.

Chciałoby się powiedzieć, że dom miał dach ze słomy, lecz jednak pokryty był dachówką. Teraz już często popękaną i poniszczoną.

– Aaa! Trach! Tfu! – Podczas gdy przyglądamy się mieszkaniu rodzeństwa, słyszymy jak Mirko, krzyczy, spada z krzesła i krztusi się ogryzkiem.

[Mirko z Zarzecznej cz. 1. -> KONIEC]

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Ten_Smiertelny, dodano 10.06.2018 12:44

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.